

**PRENUMERATA**

W MIEJSCU:

rocznie . . . rs. 3 kop. —  
p6trocznie . . . rs. 1 kop. 50  
kwartalnie . . . rs. — kop. 75

Cena pojedynczego numeru kop. 10.

Z PRZESYŁKĄ:

rocznie . . . rs. 4 kop. 40  
p6trocznie . . . rs. 2 kop. 20  
kwartalnie . . . rs. 1 kop. 10

# TYGODNIK

**OGŁOSZENIA.**

za 1 razowe po kop. 7 za wiersz  
petitu lub za jego miejsce.  
za 2—6 razowa po kop. 4 za  
wiersz.  
za 7—10 razowa po kop. 3 za  
wiersz.

CENA OGŁOSZEŃ  
na pierwszej str. podwojna.  
Reklamy po 10 k. za w. petitu.  
Cena ogłosań zagranicznych po  
10 kop. od wiersza.

Biuro Redakcyi i ekspedycja g6wna, w domu W-go Michelsona obok Magistratu. — Ogłoszenia przyjmują: Redakcyja, obiedwie księgarńie, oraz po zagranicami guberni wyłącznie agentura „Rajchman i Frencler” w Warszawie.

Prenumeratę przyjmują w Piotrkowie Biuro Redakcyi i obie księgarńie. W Tomaszowie rawskim księgarńia J. Mazaraki—prócz tego, w Łasku W. Grass.  
w Częstochowie W. Gaszdecki.  
w Będzinie „Janiszewski Stan.  
w Brzezinach „Krzemienieński Jul.  
w Dąbrowie „Tomaszewski J.  
w Łodzi „Janiszewski Leopold  
w Radomsku „Goszczyński Franciszek  
w Rawie „E. Sulimierska.

Wychodzi w każdą Niedzielę wraz z oddzielnym stałym Dodatkiem Powieściowym.

## TANIE KSIĄŻKI DLA LUDU I MŁODZIEŻY

od kop. 2 do kop. 25—w bardzo wielkim wyborze, w Księgarni F. Jędrzejewicza

Departament Przemysłu i Handlu St.-Petersburg, 10 lutego 1886 roku № 3106.  
Pewny środek XIX-go wieku.—Gwarancja długoletnia

### „EXSIC CATOR“

Wynalazek inżyniera-technologa Rittera.

Osusza WILGOC w starych domach, zabezpiecza NOWE, oraz utrwalając wszelkie przedmioty z DRZEWA, jako to: sprzęty gospodarskie, naczynia kuchenne, i t. d. ochrania takowe od rozsychniania się, pęknięcia, gnicia, grzybka; dezynfektuje stajnie, obory i t. p. i ZASTĘPUJE OLEJNĄ FARBĘ w rozmaitych kolorach przez dodanie odpowiedniego proszku służąc do zaprawiania podłóg; —tańszy od tejże o 50%. „Ekssikator” sprzedaje się w Głównej Agenturze na gub. petrokowska, w księgarni „M. Rawicz” w Petrokowie także otrzymać można bezpłatnie Broszurki, objaśniające pożytek i zastosowanie „Ekssikatora” w języku polskim i rosyjskim. Agentura g6wna podejmuje się osuszania wilgoci z mieszkań i w og6le mur6w po cenach warszawskich.—Poszukując agent6w w miastach powiatowych gub. petrokowskiej. (0—7)

### Ktoby z właścicieli większych dom6w

w „Petrokowie” poszukiwał wytrawnego i uczciwego cz6lowieka, na Rzadęc6 domu, za wynagrodzeniem w naturze (t. j. za odpowiednie mieszkanie)—raczy składać oferty w Redakcyi „Tygodnia” pod literami N. O. (7—1)

### Przemysł gubernii Piotrkowskiej

w roku 1885.

Stan przemysłu fabrycznego i rękodzielniczego w roku zeszłym nieco się polepszył. Przesilenie, groźne zwłaszcza w ostatnich dwóch latach, widocznie już się skończyło, gdyż zapotrzebowanie towar6w szczególnie w końcu roku znacznie się powiększyło.

Dzięki tak pomysłnej zmianie, fabrykanoci znaleźli się w możności nietylko powiększenia produkcji, lecz nadto pozbycia się nagromadzonych zapas6w towaru.

Jak wiadomo, wyr6b tkanin bawełnianych, pochłaniający najwięcej sił roboczych, stanowi najg6wniejszy dzia6l przemysłu naszej gubernii. Ot6ż w tym dziale wartość przerobionych materyja6w wcale się nie powiększyła, g6wnie dlatego, że ceny wyr6b6w bawełnianych były niższe w celu zapewnienia sobie możności sprzedaży w obec konkurencyi. W Łodzi, g6wnym ognisku wyr6b6w bawełnianych, wartość wyprodukowanego towaru zmniejszyła się o 10%. Wyr6b zaś p6łwełnianych, a szczególnie wełnianych towar6w znacznie się powiększył.

W Łodzi produkcyja tego rodzaju towar6w zwiększyła się przeszło o 40%, a w Tomaszowie, największym ognisku przemysłu sukienicznego, prawie o 70%, do czego przyczyniło się niemal6 połączenie tego miasta za pośrednictwem drogi żelaznej Iwangrodzko-Dąbrowieckiej z siecią dr6g całego kraju.

W g6rnicztwie, a zwłaszcza w kopalniach węgla widoczne jest również pewne ożywienie; można się też w tym kierunku spodziewać coraz większego rozwoju, gdy po przeprowadzeniu odnogi Dąbrowieckiej ko-

lei do kopalni węgla, wschodnia część Kr6lestwa Polskiego i zachodnie gubernije Cesarstwa będą mogły taniej zaopatrywać się w węgiel. Obecnie jeszcze ta dostawa bardzo jest utrudnioną przez konieczność przedładowywania z wazkokolejowych na szeroko kolejowe wagony w Warszawie.

Og6lną wartość produkcji fabryk w gubernii w roku 1885 w por6wnaniu z rokiem 1884 przedstawia następująca tablica:

Rodzaj fabryk i zakład6w przemysłowych	Wartość produkcji w tysiącach rubli		A zatem w 1885 r.	
	W 1884 r.	W 1885 r.	wiecej	mniej
3) Fabryki, zakłady i osobne warsztaty przerabiające bawełnę, len i jedwab . . . . .	41996	38548	—	3448
b) Fabryki i zakłady wyr6b6w wełnianych . . . . .	12725	17458	4733	—
c) Fabryki i zakłady, przerabiające produkty państwa roślinnego . . . . .	11724	13822	1598	—
d) Zakłady przerabiające produkty państwa zwierzęcego . . . . .	484	333	—	151
e) Zakłady, przerabiające produkty państwa kopalnego . . . . .	2360	2944	584	—
f) Prywatne kopalnie i zakłady wyr6b6w żelaznych . . . . .	10730	12020	1290	—
Og6l . . . . .	79969	84625	4656	58

Oprócz tego w fabrykach i zakładach, przyłączonej do gubernii gminy Kromol6w (gub. kielecka) wyprodukowano w tymże 1885 roku:

W jednej fabryce tkanin bawełnianych . . . . . 3500000 rs.  
W zakładach przetwarzających produkty państwa roślinnego . . . 58700 rs.  
W zakładach, przerabiających produkty państwa kopalnego . . . 53400 rs.  
Og6fem za 3,612,100 rs.

Og6lna zatem wartość produkcji gubernii wynosi 88,237,000 rs. Z tej liczby 67½% t. j. więcej niż ⅔ przypada na wyroby rękodzielnicze, a 17% —na przemysł g6rniczy.

Zresztą, z powodu trudności sprawdzenia w drodze urzędowej rzeczywistej wartości produkcji, należy przypuszczać, że powyższe liczby są niższe od rzeczywistych, tem więcej, że przy wahanii się cen towar6w lokciowych sami nawet fabrykaneci nie są w stanie wykazać dokładnie wartości swych wyr6b6w.

### F. OSTROWSKI Krawiec Męzki

polca się z gustownem i akuratem wykańczaniem roboty, oraz najprzystępniejszymi cenami. Plac „Mikołajewski” na I-em piętrze obok kuśnierza pana Piętki. (7—2)

### Do składu trumien metalowych,

istniejącego od kilku lat, dawniej pod firmą „Rodzina” w domu S-r6w Grabowieckich vis-à-vis Cerkwi nadszedł znaczny transport trumien Krajowych i Wiedeńskich. Wiadomość u Stolarza Czajkowskiego lub u str6ża, na miejscu. (6—5)

G6wny Skład

### CUKRU DOBRZELIŃSKIEGO W. ZALESKI w „Petrokowie“

poleca cukier krystaliczny w g6wach i kostkach, oznaczający się białością i słodyczą, sprzedaż u W. Zaleskiego i w sklepie L. Kalińskiej ulica Moskowska. Skład poleca również: Nasiona rolnicze i Worki drylichowe do zboża. (6—6)

### „NADZIEJA“

Zarząd stowarzyszenia spożywczego w Dąbrowie g6rniczej potrzebuje tygodniowo kilkadziesiąt funt6w zupełnie świeżego, wyborowego masła do chleba. Uprasza osoby mające ehęć podjąć się dostawy o nadesłanie ofert pod adresem Zrządu, z dokładnem określeniem warunk6w, na jakich towar ten mógłby być dostawianym. (3—3)

Do dzisiejszego numeru dołącza się arkusz 7 zbioru oryginalnych nowell Karola Hoffmana p. t. Szczęśliwi.

Dokładniejsze dane w tym względzie otrzymujemy z wiadomości o liczbie robotników fabrycznych, gdyż na ścisłość tych cyfr zwracano szczególną uwagę. Pod tym względem porównanie r. 1884 z 1885-tym przedstawia się tak:

Liczba robotników	W r. 1885		W r. 1884	
	W r. 1885	W r. 1884	W r. 1885	W r. 1884
W r. 1885, nie wliczając gminy Kromolów	wiecej	5000	33902	30902
	mniej	10,2	9776	7186
Robotników	%	2640	6423	5514
	%	900	253	367
Ogółem . . .				
114				
31,0				
11,7				
17,7				
19,51				
70481				
15518				
15377				
13761				
57680				
67731				

Widzimy więc, że warunki naszego przemysłu fabrycznego w roku 1885 były daleko lepsze niż w roku poprzednim.

Należy też zauważyć, że powiększenie się liczby robotników fabrycznych miało miejsce w okręgu północnym (łódzkim) gubernii; w południowej zaś części (pow. będziński) liczba robotników prawie się nie zmieniła skutkiem zakazu rozszerzania fabryk w pasie granicznym.

(dok. nast.).

## MICHAŁ ZARUCHA

Szkic z natury

skopiował

Jan Lorent...

Kiedym pierwszy raz zobaczył Zaruchę, mógł mieć nie więcej nad trzydzieści pięć lat.—Był to mężczyzna postaci pospolitej, wysoki, z szorstkim nieco wyrazem twarzy i olbrzymią głową, na której sterczał pęk jasnych, zakurzonych i nieczeszanych włosów. W odzieży widać było zaniedbanie: poplamiony z poobrywanym guzikiem surdut, koszula zawsze pod szyją rozpięta i nieczystsze niż buty—oto charakterystyczne cechy jego stroju.

Szczególne tylko miał oczy: patrząc na nie, trudno było określić, jakiego były koloru, bo się lśniły barwami kameleona; ale bo też z oczu tych wyglądała cała niepospolita dusza Zaruchy. Gdys spojrzał w nie, musiałeś przypatrywać się pilnie, przeczując, że Zarucha — to nie zwyczajny robotnik podwyszyńskiej fabryki, że pod tą brudną koszulą i odzieniem kryje się gorące serce.

Przyjaciel mój Adam, do którego przyjechałem do Podwyszyna mieszkał w sąsiedztwie Zaruchów. Było lato; wieczorne zatem godziny spędzaliśmy w cieniście, obrosłym dzikim winem ganku, gdzie nieraz, gadu — gadu o tem i owem, prze-

## Wiadomości Bieżące.

### — Złożenie Towarzystwa Kredytowego Miejskiego w Piotrkowie.

na wtorkowym zebraniu tutejszych posesyjantów w magistracie, zostało w zasadzie postanowieniem. Zgromadziło się na naradzie osób przeszło 50. Po zagajeniu posiedzenia przez p. Prezydenta, zabrał głos Dr. Strzyżowski, przedstawiając dotychczasowy przebieg tej sprawy (jakimś podawali i w „Tygodniu”), zebrane dotąd materiały i liczne dane, dotyczące wartości ogólnej domów jakoteż składki asekuracyjnej i wzywając zgromadzonych do rozpatrzenia takowych, zbadania wszelkich za i przeciw i wypowiedzenia: chcą czy nie chcą zjednoczyć się w Towarzystwo Kredytowe? A że z małym wyjątkiem, wszyscy niemal jednoznacznie oświadczyli chęcią, nie dysputując, że pragną Towarzystwa — przeto, z małą korzyścią teoretyczną, ale szybkim skutkiem praktycznym, doszli do tego rezultatu, że zaraz zdeklarowali się prawie wszyscy (osób 40) na wzięcie pożyczek w sumie ogólnej 400,000. Napisanie ustawy, według szematu już egzystujących Towarzystw w Kaliszu lub Płosku, przygotowanie podań, przedstawienie odpowiednich dokumentów i podjęcie dalszego trudu dla dopięcia zamierzonego celu, powierzono *ad hoc* komisyi, do której wybrano pp. Babińskiego, Kańskiego i Strzyżowskiego. Nawiasowo dodamy, że jednoznaczność zapatrywań, przerwana tylko została z początku posiedzenia, głosem pana Giegużyńskiego, który napróchno usiłował dowieść tego, o czem pisał już w przeszłym numerze „Tygodnia”, i na co w tymże numerze zaraz w przypisku odpowiedziałismy.

— **Przedstawienie** zeszłej niedzieli osławionej „*Malaszki*” Śnieżko-Zapolskiej było jedną z tych niemilych dla piotrkowian niespodzianek, które przykry pozostawiają po sobie niesmak i przez to z trudnością dają się zapomnieć. Jest to sztuka pisana na efekt, dla tłumów o smaku niewyrobionym, więc i niewybrednym, pełna grubych i nagich efektów, wysrubowanych przez chorobliwą imaginację scen tragicznych i—prawdziwych ale... tylko w fanta-

zyi, sytuacji. Główna postać (tak przynajmniej interpretowana jak tu widzieliśmy) jest psychicznie całkiem chybiona — publiczność bowiem nie może wyjść ze zdumienia, dlaczego w tej *Malaszce*, która budzi w niej wstręt od początku do końca, która nie jest niczem więcej, jeno wcale niem zwierzęcej ehuei—dlaczego w tej *Malaszce* tak gustują wszyscy niemal bohaterowie tego pseudo-dramatu pani Zapolskiej? Z całego ciągu sztuki widocznem jest, że autorka swoje własne gusta i upodobania pragnęła wszczepić w widza—ale zupełnie jej się to nie udało. Jestto nie naśladowanie naturalizmu Zoli, ale powiedzielibymy podrażnianie takowego.

O ile dziś wreszcie sztuka powinna i musi pozostać realną, o tyle naturalizm w sztuce jest tylko chwilowym wybrykiem. Realizm do naturalizmu jest w tym samym stosunku, jak psychologija pozytywna do fizyologiji, jak zwierzę—człowiek do zwierzęcia—czworonoga.

— **Wydział karny** tutejszego sądu o kręgowego wyjeżdża w dniu dzisiejszym do Częstochowy, gdzie sędzić będzie sprawy kryminalne przez poniedziałek, wtorek i środę;—następnie zaś udaje się na takie posiedzenia do Będzina, na czwartek i piątek. Skład sądu będą stanowić: prezydujący p. Luce, sędziowie pp. Kolezanowski i Krüger, oraz sekretarz p. Wyczalkowski. Oskarżać będzie podprokurator Fabricius.

— **O powiększeniu kompletu sądowego** w wydziale cywilnym miejscowego sądu okręgowego, o dwóch członków, donosiliśmy już we właściwym czasie. Obecnie w wykonaniu tego postanowienia mianowani zostali sędziami tegoż wydziału pp: Szestakow dotychczasowy podprokurator sądu okręgowego z Wiatki i Rogozin młodszy pomocnik obersekretarza rządzącego senatu.

— **Nomina cyja.** Z rozkazu ministra sprawiedliwości, tutejszy kandydat do posad sądowych przy sądzie okręgowym, p. Antoni Witkowski, mianowany został sędzią śledczym 2-go okręgu troickiego w gubernii oremburskiej, z pensją 1500 rs.

— **W ubiegłą środę**, około godziny 10 z rana zmarł nagle, siedząc na ławce w ogrodzie po-bernardyńskim, p. B. Ko-

siedzieliśmy do późnej nocy.

Leżymy właśnie na długich wygodnych ławkach, a księżyc wdziera się do nas niby gość nieproszony, przez szczeliny pomiędzy liśćmi. Ja odgrzebuje wspomnienia stare, Adam dorzuca do nich swoje komentarze i bardzo nam jakoś wesoło.

Nagle słyszymy pewien szelest pomiędzy krzakami. Wypada z nich jak strzała jakiś człowiek i—trzymając w ręku gazetę—woła już z daleka:

— Jest paniel.. jest!.. mam!

— Co takiego?—zapytuje zdumiony Adam.—Co macie, Zarucho?

— Wydrukowali—jest — zaraz przeczytam... świecy tylko, świecy!

— Ale cóż będziecie czytali? mówcież!

— Świecy panie—zaruz...

Adam pobiegł i przyniósł zapaloną świecę. Zarucha trzymając w ręku „Gazetę Świąteczną”, począł czytać długą korespondencję o mularstwie i pewnym mularzu, co to nie umiał nigdy trzech zliczyć, a dziś stawia kominy fabryczne i inne dzieła sztuki mularskiej.

Tak był oszolomiony tym faktem, że „wydrukowali”, iż mię zupełnie nie spostrzegł, chociaż przeszedł obcierając się o mnie. Czytał z iskrzącymi się oczyma, trzęsąc się cały jak w febrze; słowem, był podobny do tych twórców arcydzieł, co to po skończeniu swej pracy patrzą się i nie wierzą, żeby zdolnymi byli do stworzenia czegoś podobnego.

Kiedy skończył, przycisnął palcem jakies

miejsce w gazetce i pokazał Adamowi.

Adam przeczytał wolno i dobitnie: „*Michał Zarucha*”.

— Więc to pan napisał tę korespondencję?—zapytałem go nagle.

Tak się zmieszał, ujrawszy mię niespodzianie, że nie mógł na razie ani słowa odpowiedzieć.

— Tak... to... to... ja... — wybelkotał w końcu.

— Można panu powinszować; bardzo dobrze napisana.

— Co? co pan mówi?—zapytał, z jakimś nerwowym uśmiechem na ustach. — Ach, panie! trzy dni pisałem po nocach całych; myślałem, że mi oczy wyjdą. Ta moja głupia Franciszka — to nie, ino mi wrzeszczy nade łbem „co ty tam bazgrzesz?” I jak wiedzma stoi nademną, wydziwia się i papier wyrwa, atrament wylewa i krzyczy bez końca: „do roboty, ty próżniaku!” Czyste skarcanie boskie z temi kobietami. Ino by się to darło i pieniędzy wołało!

Wie Pan, jak porwę pióro do ręki, to nie, ino bym pisał i pisał bez końca—albo też siedział z gazetą w ręku od rana do wieczora. Bo już jacy to ludzie mądrzy! co tam oni muszą wiedzieć różnych ciekawości. A my tu wszyscy, Boże odpusć, tacy głupi, jak nie przymierzając cielecia!..

I westchnął smutnie, choć na ustach miał jeszcze przez chwilę dogorywający płomyzek uśmiechu. Spojrzał ku niebu, ścisnął w ręku gazetę, usiadł na drewnianym progu gankowym i patrzył gdzieś w

bierzycki. Zmarły, choć znajdował się w sile wieku, ale nieodznaczał się dobrem zdrowiem i w ostatnich latach żył w wielkim niedostatku, który nie pozwalał mu na niezbędne poratowanie zdrowia.

— **Prześcliczna pogoda** jaka przetrwała z małymi zmianami większą część ubiegłego tygodnia i towarzyszące jej ciepłe przedwieczorne deszcze, bardzo sprzyjały rozwijaniu się wiosennej początkowej wegetacji. Jakoż w ciągu trzech dni pączki na drzewach popękały i ogrody miejskie umiały się zielenią. Ulice też miasta naszego, zeszłej zwłaszcza niedzieli, roily się tłumami spacerowiczów, z których niektórzy puścili się nawet w powozach i konno na dalszą, zamiejską wycieczkę. Wogóle kwiecień dopisuje nam; kwestyja, jakim się okaże maj—od lat już kilkunastu zwykle grymasny, zapłakany i zimny.

— **Śmierć.** Dnia 26 b. m. zmarł w Żarkach tameczny rejent, Bolesław Szmidt, znany poprzednio wszystkim w Piotrkowie sekretarz archiwum hipotecznego przy sądzie pokoju. Zmarły zostawił po sobie b. liczną rodzinę.

— **Z Rawy** (nadesłano). W zastępstwie stałego z Rawy korespondenta, pozwólcie doraźną przesłać Wam korespondencyję o tem, co się od nowego roku ważniejszego w naszej spokojnej wydarzyło Rawie.

Na tle cichego, a kroczącego ciągle po torach pracy i spójni towarzyskiej bytu społeczeństwa naszego, przynębiające uczyniły wrażenie dwa wypadki śmierci dorosłych dzieci tutejszych obywatelstwa, państwa Szrajer, właścicieli folwarku Dolne i browaru w Rawie. W samą wilię Bożego Narodzenia umarła w Warszawie zamężna ich, 23 lat mająca, córka, doktorowa Wejssel, a w kilka tygodni potem podążył za nią do grobu 25-cio letni brat Julijan, młodzieniec rokujący wielkie na przyszłość nadzieje. Skończywszy szkoły w Łodzi ś. p. Julijan zwiadał najgłówniejsze w Europie browary, a praktykując w nich zapoznał się z gruntowną naukową zasadą piwowarstwa i zdobył w rodzicielskim już użytkował zakładzie. Przed rokiem dla nabywania wszechstronnej w swym fachu umiejętności podróżował też i po Rosyi. Pracowity, zamilowany w swym fachu roz-

wijał zdobyte teoryje na gruncie swojskim i swojskimi żywołami dokonywał tego, do czego gdzieindziej potrzebują pracy przybyszów. Chętnie biorąc udział w każdej dobrej sprawie, obchodzącej ogół ś. p. Julijan był też i członkiem straży ogniowej ochotniczej. Pełniąc honorowy ten obowiązek spadł z konia, czemu niektórzy początek jego choroby przypisują. Pogrzeb dwojga młodych ludzi odbył się z niezwykłą uroczystością przy licznym udziale duchowieństwa, przyjaciół i znajomych.

Oprócz tych dwóch wypadków rok bieżący nieczem się w Rawie nie odznaczył.

Wykrycie nadużyć w administracji leśnej miejskiego lasu przez municypalność Rawską, i małe zamęt w kościele po-Augustyjańskim, wywołany niesłychanym natłokiem pobożnych w uroczystość odpustową Zwiastowania (25 marca), który na szczęście na popłochu chwilowym, krzyku i ucieczce bojaźliwych się skończył — oto wszystko, co ważniejszego się stało w Rawie.

Dobroczynność też rawska, z świąt wielkanocnych korzystając, zarządziła dwoiście kwesty: pierwszą po domach, na święcone dla wstydzających się zebrać — drugą w obu kościołach, przy obchodzie grobów na miejscową ochronkę. Pierwsza przyniosła biednym rs. 181 kop. 97 — druga — ochronce rs. 36.

Nie chcąc wchodzić w rolę stałego korespondenta z naszego miasta, na tem niniejszą moją doraźną pisaninę kończę.

X. X..

— **Z Zawiercia.** Ogólne zebranie akcyjnarjuszów Towarzystwa akcyjnego „Zawiercie“ odbędzie się w Warszawie w dniu 8 maja. Na posiedzeniu między innymi kwestyjami dopełniony zostanie wybór dyrektora, jego zastępcy i 3 członków komisji rewizyjnej.

— **Utrzymujący zakłady naukowe** męzkie z kierunkiem realnym zawezwani zostali do zamknięcia od nowego roku szkolnego klas wstępnych. Postanowienie to zostało umotywowane okolicznością, że podobne klasy nie istnieją w zakładach naukowych realnych, utrzymywanych przez państwo, oraz przepisem zalecającym, aby pensjonaty prywatne były uorganizowane tak samo jak rządowe.

— **Tygodnika „Życie“** ostatni nu-

mer poświęcony jest prawie w całości pamięci J. I. Kraszewskiego. Znajdujemy w nim śliczny wiersz Maryi Konopnickiej „18 kwietnia“; dalej „Spuścizna po Kraszewskim“ przez d-ra Piotra Chmielowskiego, Twórczość poetycka Kraszewskiego, przez Z. Przesmyckiego, — Chronologiczne zestawienie działalności naukowej i literackiej Kraszewskiego, — i „Ostatnie chwile Kraszewskiego“, przez St. M. Rzętkowskiego. Do numeru jako premium nadzwyczajne, dołączony jest portret fotodrukowy zgasłego pisarza.

— **Ostatni numer** „Tygodnika Ilustrowanego“ z nadzwyczajnym pośpiechem przyniósł czytelnikom szczegóły pogrzebu J. I. Kraszewskiego w Krakowie. Na tytułowej karcie znajdujemy rysunek P. Stachiewicza „Pamięci J. I. Kraszewskiego“ z trzema pełnymi głębokiej myśli zwrotkami podpisanymi literą: n. Różne chwile obrzędu pogrzebowego i widoki świątyni w których się odbywał, uwydatniają: cztery rysunki W. Łuskiny, dwa C. Jankowskiego, jeden S. Tondosa i jeden L. Piccarda. Na oddzielnym nadto arkuszu dodano widok żałobnego pochodu po wyruszeniu z kościoła Panny Maryi, rysunku P. Stachiewicza. Część ilustracyjną uzupełnia szczegółowy opis pogrzebu.

— **Do dzisiejszego numeru dołącza się** ogłoszenie o zakładzie zdrowo — kąpie lowym „Solec“.

— **Przesyłanie prośb [za pomocą telegrafu.** Jak donosi „Nowoje Wrenia“, ministerjum skarbu wniosło do rady państwa projekt, aby prośby lub skargi osób prywatnych do władz rządowych, mogły być przesyłane w formie telegramu; przyczem opłata stępla ma się odbywać w ten sposób, że na depeszach muszą być przyklejane marki rządowe w takiej ilości w jakiej ich przepis wymaga przy podawaniu prośb na papierze. Przyjmując depeszę telegrafista obowiązany będzie do kasowania tych marek. Niezależnie od tego będzie się naturalnie pobierała opłata zwykła za depeszę i odpowiedź na nią.

— **Listy od Redakcyi**

— **Panu Omega.** Nadesłana korespondencyja z Sosnowca jest poprostu długą gawędą na temat, że Sosnowiec to — zabita kółkami dziura, w której na śmierć się można zanudzić. Czyż tak?... Zamiast dwuarkuszowego opowiadania o cukierniach, restauracjach, błocie, dorózkach i hotelowych niewygodach, jakich u nas wszędzie pełno — należało zwiędzić fabryki, do-

dal, nieruchomy, martwy prawie, jakby ztamtąd przyzywał tego geniusza wiedzy, o którym marzył wciąż i do którego wzdychał przed chwilą.

Przez chwilę trwało ogólne milczenie.

— Może by zgasić świecę? Milej będzie przy księżycu — nieprawdaż? — zapytałem Adama.

Zarucha, jakby ze snu przebudzony, odwrócił się szybko twarzą ku mnie, zerwał się, zgasił świecę i stanął znów nieruchomy. Poprosiłem go, aby usiadł i zacząłem opowiadać Adamowi treść niektórych miejsc z powieści „Ogniem i mieczem“, którą przed kilku ukończyłem dniami.

Zarucha usiadł tak, że księżyc świecił mu prosto w oczy; mogłem więc obserwować jego twarz. Usta mu się szeroko rozwarły, oczy zaiskrzyły, jak węgielki i patrzył na mnie, jakby nieco wystraszony.

Kiedym skończył opowiadanie, porwał się z ziemi, przyskoczył do mnie i, chwytając mnie za kolana, zawołał:

— Pan mi pożyczty tej książkil mój złoty, mój drogi paniel Ja nie poplamie.

— Ależ dobrze, owszem. Przysięgę ją panu Adamowi.

Gawędziłiśmy jeszcze dość długo tego wieczora, a Michał słuchał i słuchał...

W kilka dni potem wyjechałem z Podwyszyna; oryginalna jednak postać Zaruchy często odtąd powracała mi na myśl. To też kiedym po czterech latach przyjechał znów do Adama, pierwszym wśród pogadanki zapytaniem było, co się dzieje z Zaruchą.

— Et, biedny człowiek! — odpowiedział ze współczuciem Adam. — Mój drogi, długa to, choć wielce smutna historyja ten Zarucha.

— No, bądźże łaskaw, opowiedz mi, bo niewiem czemu, ale ogromnie zainteresował mię ten człowiek, kiedym go tu u ciebie po raz pierwszy zobaczył.

— Dobrze, słuchaj. Jak wiesz, był on tkaczem, czyli jak tu oni sami się nazywają „webrem“. Był to człowiek pracowity i skrzętny; zaczął więc warsztat tkacki na kilka osób i szło mu jakoś nieźle. Wkrótce pojął żonę, która przyniosła mu w dom trochę grosza; a że Zarucha był człek obrotny i sprytny, przytem nieźle czytał i pisał, i temu więc i owemu umiał zaradzić w potrzebie.

Sąsiedzi bardzo go szanowali i kochali; był też prawdziwie dumny i szczęśliwy gdy mógł komu z nich pomóc. Gdybyś kiedy widział tę twarz jego pełną szczęścia, gdy czasem po kilka godzin a nieraz dnie całe pomagał sąsiadom wiązać snopki, lub sieć koniezyne i owies!...

Gdy „pisarz“ Gazety świątecznej rozrzucać zaczął po kraju swe wydawnictwa, Zarucha, natychmiast nabył ich kilka. Razem z żoną zabrali się do czytania, ale Zarucha niezadowolony był z tego, co czytał.

Dobrał się wreszcie do samej Gazety Świątecznej; odczytywał ją najprzód sam skwapliwie od deski do deski, a później to samo czynił w gronie tkaczów, których całe gromady zbierał do siebie na zimowe wie-

czory. Szczególniej jakoś się rozmiłował w korespondencyjach z miast rozmaitych; każdy fakt w nich spotkany długo w umyśle ważył i porównywał z tem, co się tu u nas w miesiąc dzieje, aż wreszcie przyszła mu ochota samemu napisać korespondencyję z Podwyszyna.

Wpada raz do mnie Zaruszyna ze łzami w oczach, całuje po rękach i lamentując krzyczy na całe gardło:

— Mój paniel mój drogi paniel niech mi pan pomoże, niech się pan zlituje nademną, biedną kobietą!...

— A cóż to wam się stało? — pytam mocno zdziwiony tym niezwykłym tonem i rodzajem prośby.

— Adyć Michał nic, ino pisze i pisze już drugi dzień — O!.. ja nieszczęśliwa kobietą!.. Popaliłam wszystkie gazety, a on nic, tylko znosi wciąż nowe i pisze, pisze, kiejby, Boże odpuść, warjat. Wezoraj, jak siadł nad wieczorem tak całą noc przesiedział i ani myśli wstać — ani to je, ani śpi. Co to będzie, co to będzie, mój Boże!..

I zakała głośno i poczęła obcierać oczy fartuchem.

— I coż jej na to poradził? — zapytałem z ciekawością przerywając Adamowi.

— A cóż miałem poradzić? Powiedziałem żeby zawołała Zaruchy do mnie.

— I przyszedł?

— Przybiegł raczej. Wleciał rozpromieniony i drżący i nie dał sobie ani słowa powiedzieć, tylko przeczytał mi tę właśnie korespondencyję o mularstwie, którą pa-

trzeć do gruntu tamecznych stosunków przemysłowych i handlowych, zbadać byt materialny pracowników i pracodawców, stosunki ich towarzyskie, zebrać wzroki obyczajowe, i poprzeć niektóre z tych danych—danemi cyfrowemi. Wówczas i nie nudziłbyś się Szanowny Pan w Sosnowcu i byłaby naprawdę korespondencyja, której obecnie, niestety, nie mamy, pomimo tak obszernego manuskryptu, jakis Pan nam raczył nadesłać. Za dobre jednak chęci—w każdym razie serdeczne dzięki!

## RODZICOM

Przypominają sobie zapewne nasi czytelnicy kilkakrotne występy „Tygodnia” w celu zachęcania rodziców, aby przyspasabiali synów do praktycznych zawodów, jakoto handlu, przemysłu i rzemiosła (stosownie do swej zamożności), a to w celu zdobycia dla nich tyle pożądanego dobrobytu, za którym w ślad idzie najdroższy skarb człowieka—święta niezależność, umożliwiająca w człowieku wszelką cywilną odwagę, wszelką samodzielność słowa i czynu. Przyjemnie też nam było spotkać się w ostatnim numerze „Kraju” z artykułem wstępnym, który rozbiegając świeży projekt organizacji szkół fachowych i słowo w słowo przemawiając w tym samym co i my duchu, tak kończy swe przekonujące wywody:

Ostatecznie ze stu skończonych „klasyków” i „realistów” ze stron naszych, dzieściąt — przypuścimy — odsetek przechodzi zwycięsko przez ten czyściec pracy wyteżonej i biedy najdotkliwszej, kończąc ostatecznie uniwersytet albo instytut komunikacyi, technologiczny, górniczy. Otóż tu nowy szkopał. Co ci dyplomowani już młodzieńcy począć ze sobą mają teraz i nadal? w jaki sposób uiszczą się rodzinie i rodakom z kosztów na nich wyłożonych, przedewszystkiem zaś z obowiązków i nadziei, jakie na młodzież kraj wkłada? Dla filologów, przyrodników, matematyków wcale już prawie nie znajduje się dziś zatrudnienia w obrębie lokalnych warunków istnienia, z wyjątkiem osób, któreby nie potrzebowały zarobku i mogły kształcić się dalej samodzielnie, nauczonych, albo gospodarzyć na wsi, wcale niezależnie od tego czy posiadają jakie dyplomy lub nie. Zawód pedagogiczny dla nich zamknięty. Dla inżynierów wszelkiego rodzaju zwięża się i zacieśnia on coraz bardziej tak w Królestwie, jakoteż w południowych, zachodnich, a na-

wet środkowych gubernijach Cesarstwa. Istnieją co prawda przedsiębiorstwa przemysłowe w kraju, i te zapewnić mogłyby dla techników drugorzędnych, o wymaganiach skromniejszych, dla majstrów kawałek ucziwego chleba na całe życie. Lecz ileż to w rzeczywistości potrzebuje cały nasz przemysł skończonych inżynierów dróg i komunikacyi, technologów i górników? Paruset może, jeśli nie mniej. W rachunku tedy pozostają jeszcze lekarze i adwokaci, którzy nie potrzebują posad pracując prywatnie. Lekarzy atoli w samej Warszawie jest przeszło 500, nie licząc weterynarzy i dentystów (zob. kalendarz Ungra); adwokatów przysięgłych wraz z pomocnikami, z obrońcami przy sądach pokoju i notaryuszami liczy Warszawa przeszło 400, budowniczych na posadach 25, budowniczych zaś i inżynierów *wolnopracujących* około 430: zawięta to dysproporcya! Z sąsiednich przy Królestwie gubernij, wybieramy za przykład Wilno: mamy tam lekarzy 47, adwokatów, pomocników i notaryuszów 55 („Kalendarz Wileński” z r. 1885), kontyngens zapewne wystarczający; pomnożywszy go w czwórnasób, odpowiednio do czterykroć większej ludności warszawskiej znajdziemy iż w Warszawie liczba lekarzy i prawników dziś już o wiele przewyższa *zdwojone* cyfry wileńskie. Cóż więc ostatecznie czynić ma młodzież nasza, cisnąca się do szkół wyższych w Cesarstwie? Liczyć chyba na zyskowniejsze posady w dalekich wschodnich gubernijach państwa? I zapytajmy, mogą się zdarzyć przykłady, że nieźle temu lub owemu z nich będzie się tam powodziło, gdyż nie przesadzając, ani też zbyt szalenie sobie schlebując, wiemy doskonale, iż dla uzdolnienia swego i sumiennosci mogą oni być chętnie poszukiwani wszędzie, gdzie warunki układają się mniej niepomysłnie. Lecz pamiętajmy, a zważyć to powinni również rodzice i młodzież nasza, iż zachodnie kresy państwa narażone są właśnie na największy nacisk tak zwanej „kulturalnej” fali germańskiej i, że zatem na wyludnienie ich z żywiołów inteligentnych nie absolutnie kraj nie zyskuje dla stosunków nawet rodzinnych oraz miejsc, które się od dzieciństwa ukochało; niewielka to zresztą jeszcze pociecha, jeśli ktoś z rodaków dobrze stanie gdzieś daleko, bo chociażby mowę rodzinną zachował, dzieci

swe starannie w obyczaju ojczystym chował, to jednak dla pomienionego zakresu bliższych i ściślejszych obowiązków rodzinnych dzieje się ujmą niemała. Większą nierównie korzyść przyniosłoby on stronom w których wyrósł i ludziom, którzy go wychowali, gdyby wśród nich pozostał, pracując chociażby w najskromniejszym warsztacie rzemieślniczym, niż kiedy prenumeruje kuryjerka do Wiatki. Kwestyja ta nader jest pilną i dawno potemu pora, iżbyśmy zważyli: ażali należy zachęcać młodzież naszą do wyteżania wszystkich sił celem skończenia wyższych zakładów naukowych, które ostatecznie dają jej bardzo tylko niepewne prawo poszukiwania zarobku zależnego i coraz bardziej ścieśnionego i w ten sposób wysysają poniekąd z przyrodzonego gruntu najdroższe, najcenniejsze jego soki, zamiast mu rozwój moralny i ekonomiczny zabezpieczać na przyszłość.

Gdyby tedy dzisiejszy projekt rządowy przeobrażenia całego systemu wychowania realnego przyszedł do skutku i gdyby istotnie udzielano u nas narówni z Cesarstwem pozwolenia, a nawet i wsparcia na zakładanie szkół fachowych, rolniczych i przemysłowych wszelkiego rodzaju, to moglibyśmy ze swego punktu widzenia z radością powitać taką reformę. Otwieralaby ona przed młodzieżą naszą szerszą, a nierównie pewniejszą niż dzisiaj drogę pracy niezależnej i przytem takiej, na którą u naszych kresach nigdy popytu nie zabraknie. Zapewne życie tak jest dziś skomplikowane, a wczesna potrzeba uzbrojenia się w narzędzia umysłowe do przyszłej pracy tak niezbitą, że istotnie już o 10-letnich chłopczykach przychodzi rozstrzygać, czem oni mają być w przyszłości. Niechby tedy rodzice mogli przynajmniej decydować o losie swych dzieci z przeświadczeniem i pociechą, iż jakkolwiek Waciu ma być tylko uczonym kowalem, zamiast przyrzeczonej mu inżynierki, a Kazio majstrem cechu stolarskiego, zamiast wyrojonej dlań adwokatury, to przecież zostaną oni obaj w domu i o żadne protekcyjne zebrać, żadnym względem bolesnych składać ofiar nie będą potrzebowali. Lepszy kował syty i zadowolony siebie, niż adwokat o głodzie, lub inżynier wędrowny—obaj marniejący w wycieńczających pościgach za umykającymi przed nimi posadami.

miętasz przyniósł przed 4-ma laty przy tobie już wydrukowaną?

— Pamiętam—no i cóż?

— Ma się rozumieć, zacząłem mu tłumaczyć, że się zabija, że marnuje czas i zdrowie. Ale mu się to niepodobało: skrzywił się, spojrział na mnie z ukosa i powiada;

— Już to tam pewno moja głupia Franciszka musiała nagadać panu na mnie! Ale to kłamstwo, niech pan nie wierzy; u mnie warsztat idzie dobrze, czeladnicy pracują, a że ja tam poczytam i popiszę trochę, to i cóż w tem złego?..

Przypuszczałem, iż rzeczywiście Zaruszyzna, jak każda kobieta z gminu, jest nieprzyjaciółką pióra i drukowanej bibuły, więc usmiechnąłem się tylko, dałem mu kilka napomnień i na tem się skończyło. Odtąd jednak Zarucha przychodził do mnie co raz rzadziej, a gdy mię spotykał, mówił mało. Widocznie nie podobało mu się to że uwierzyłem głupiej kobiecie.

W tydzień później znowu przychodzi do mnie Franciszka mocno podrażniona i splakana, a rzucając na stół zmiętą jakąś gazetę, powiada:

— Niech no pan popatrzy, jaką mam nową pociechę. Mój niepocziwy Michał kupił sobie drugą gazetę i teraz ma już dwie.

— I cóż w tem złego, moi drodzy?—pytam jej, usmiechnąjąc się zlekka.

— Co złego?—A, mój Boże kochany, więc i pan na to nie nie mówi? więc ja nieszczęśliwa kobieta już do nikogo udać się nie mogę?

Zaczęła szlochać jak dziecko.

Rozwinąłem przyniesiony numer i przekonałem się, że Zarucha zaprenumerował sobie „Dziennik dla wszystkich”. Widocznie „Gazeta Święteczna” już przestała zadość czynić potrzebom jego ducha i żądzy wiedzy.

Biedna kobieta, tak płakała i skarżyła się, że ulegając jej prośbom, wybrałem się do Zaruchy z silnem postanowieniem wyperswadowania mu tej manii.

Kiedy wszedłem do ich mieszkania, spotkałem Zaruchę przy wielkim, złotym stole, na którym stał talerz z żurem odsunięty aż na samą krawędź. Zarucha trzymał w ręku gazetę.

— Co to czytacie Michale?—zapytałem go.

— Dziennik dla wszystkich! — odpowiedział mi z pewnym rodzajem dumy. Toć jeżeli dla wszystkich, to dla czegoż ma nie być dla mnie? Nieprawda panie?

— Tak, moi drodzy,—jest to gazeta dla wszystkich, ale tylko tych, którzy mają pieniądze i czas potemu, a wy przecież macie robotę.

— Pieniądze to tam mam na gazetę, a robota i bezemnie idzie. Od czegoż są czeladniki? a bo to im nie płacę i jeść nie daję? Mój Panie, jabym chciał pana o coś prosić, bardzo prosić.

— O cóż takiego?

— Ale czy mi pan nie odmówi? bo pan to ta więcej tej mojej głupiej baby słucha niż mnie.

— Jeżeli będziecie mieć słusność — nie

odmówię.

— Mój Panie, niech mi Pan nie odmówi; może to ta i niesłuszne, ale człowiekowi zawsze się chce czegoś lepszego.

— A czegoż to wam się chce?

— Tu, panie w „Dzienniku” pisze, że będzie wystawa przemysłowo-rolnicza i że rzemieślnicy mogą na nią swoje wyroby posyłać. Jabym tam, kilka wełnianych chustek posłał, tu u mnie na warsztacie zrobionych. Bardzo Panie ładne i dobre.

— Pokażcież no mi jedną z tych chustek.

Michał otworzył do wielkiej, stojącej pod ścianą skrzyni i wyjął trzy duże wełniane chustki.

Robota była wcale piękna; zadziwiłem się nawet i zapytałem go sceptycznie:

— A czy to u was robione?

— Jużci, że u mnie—odpowiada urażony. Toć mogą na to świadków przedstawić, jakby pan chciał.

— Po cóż świadków; przecież wam wierzę. Dla wystawy jednak, trzeba będzie świadectwa, że to wasza robota.

— Toż przecież fabryka da mi świadectwo; tylko niech mię pan nauczy, gdzie adresować?..

Podyktowałem mu adres i Zarucha tegoż jeszcze dnia odniósł chustki na pocztę.

(dok. nast.)





Naraz—potwór rzucił się na Jana, powalił go, wciąż spotkanie...  
 kosiła na Jana, a ten szedł najspokojniej, na jego straszliwie... Potwór ten pędził z przerażającą szybkością obryzaniego potworu, sycząc cęgo i warcząc cęgo. Potem z ciemności nowy wytonił się dwa płonące Jan wszedł w głąb lasu, zawsze idąc między rejsami... wicher gwałtownie drzew, wszędzie targając niemi... Mgła otuliła ziemię... deszcz coraz się wzmacniał; gdzieś... dokąd?—sam nie wie...  
 go tu... jutro nie może tu być... musi wynieść się czegoś wskazywał bezpieczną drogę... jutro nie będzie tunek... ostatni raz chciał spotkać pociąg, któremu tak gadnąć może? Obchodził po raz ostatni swój postać wicher, nie widział nic, a co czuł—ktoś to od niego czuł smagania deszczu w twarz... nie słyszał wytamany piasku, a potem rzęsiście kropie deszczu... Jan od lasu pociągał wiatr osty, niosąc prosto w oczy między rejsami, w stronę lasu. Zmrok już zapadał... skrzywiwszy się nawet, poszedł plantem kolei, potem. Jan ujrzawszy to, nie mówiąc nie nikomu, nie Janowa z dziećmi leżąc na barjerce przed dołżko z poscieli, trochę garnków i starych szmat wyrzucił od rana za drzwi gate ruchomości Janów; władzy, przestraszony o siebie, w dniu oznaczonym, rewizji drogi. Waleńty, dowiedziawszy się o rozkazie niego wysłano o 88 wiorst, na asystowanie przy re-do P. Był to termin ostateczny. Jak na toż—Anto-czyk. Po upływie tygodnia, Jan z niemiem powrócił a im mniej ludzi tem więcej zarobią i oni i podrad-szosie, to i tam człowiek nie puszcza, bo ludzi pełno,

— 69 —  
 idąc na jego spotkanie... Służba kolejowa znała ją już i czuwała, aby nie było wypadku. Maszyniści zwalniali biegu w lesie i przed stacją w P., bo Janowa nieraz rzuciła się pod pociąg, klękała przed lokomotywą, machając jakimiś papierami... Zapytana, co to znaczy, opowiadała, że prosi o wsparcie dla dzieci, albo o oddanie jej męża... W ciąglej wędrówce, bez spoczynku, zgubiła kiedys gdzieś jedno dziecko... Co się z niem stało—nikt dojść nie mógł... Szukała go długo... gorączkowo... aż wreszcie zapomniała o niem... Tymczasem, nie dożywszy roku, druga dziecina jej zmarła, zasnawszy cichatko na rękę obłąkanej matki... Nosila z sobą trupa dni kilka, mówiąc, że śpi, aż go jej je odebrać i pochować musiano... Wkrótce potem—w rocznicę śmierci Jana, nad wieczorem, powracający z lasu robotnicy, dali znać, że na drzewie wisi „waryjotka”... Oderznęto ją zaraz, ale już nie zdołano powrócić do życia — tem lepiej dla niej!  
 Lata biegały... Antoni zawsze jest dozorcą, chociaż mu z dniem każdym ciężiej, z każdą chwilą mniej pewne jutro. Dzieci Janów podrastają, potrzeba je uczyć, a Antoni sam poddać temu nie wstanie.  
 To też przed niedawnym czasem można było czytać w rozmaitych pismach ogłoszenie tej treści:  
 — „Jest do wzięcia na własność czworo sierotek po dróżniku kolejowym. Bliższa wiadomość u dozorcę robotów kolejowych w P.”  
 Nikt się dotąd nie zgłosił. Po „szczęśliwych” rodzi-cach pozostałe dzieci, będą zdaje się równie... szczęśliwe.

Najbardziej tygodnia. Żeby nawet chcieć kamienie bic na znałdzie robotę, wtemczas kiedy mu potrzeba i to w był nawet ogłoszenie do gazety... ale gdzieś to pojechał do miasta, przepływał się tu i owdzie, zro-mu na drogę kilka rubli.—Jan ustuchwał rady dozorcę, Radził mu poszukać zarobku w mieście, pozyczył czając tygodniowy termin do wyprawowania się na do siebie, przeżywał mu rozkaz władzy, nazna-nika dawnych lekarów. Antoni przywołałszy Ja-rzany rozkaz na piśmie wyznaczenia z mieszkaniem dróż-Najjutrz—dozorca drogowy w P. otrzymał wy-demii lub coś podobnego.  
 go dróżnika na kupie, może spowodować wybuch epi-dzenie się dwóch rodzin, dawnego i nowomianowane-rozmowie, „intra parentes” wtrącił uwagę, iż gniez-Sowski wstąpił do naczelnika dyktansu i w potocznej Przejżdżając przez miasto gubernialne, pan strzeżł Janową z dziećmi. Wiedział, co porzebował. dróżnika, pod pozorem napięcia się wody, i tu spo-i ostąpił. Nie dowierzając oczom, wszedł do izdebki strzeżł Jana, stojącego z chorągiewką przy barjerze Pownego raju, podczas przejeżdżania pociągu, do-jał po lasach z fuzijką, używając swobody.  
 pomocnikowi i przed wyjazdem do wód, parę dni bu-wego, który z ławoscią otrzymał. Zdał więc służbę po naczelnikową, podał się na urlop parotygodnio-nego położenia. Pan naczelnik, zamierzając pojechać Niedlugo jednak trwał ten stan niedocędydowa-Janów.  
 widział—przeszły ze szpitalu pani Krzyckiej do rąk

— 53 —  
 zdziwieniem ujrzał leżące na łożku dwa małe stwo-rzonka, odzywające się piskliwym głosikiem.  
 Rodzinę dróżnika powiększyły przed chwilą bli-żnięta...  
 Kiedy do „towarówki” wyszedł już sam ojciec, Michaś cichutko wymknął się za nim i trwożliwie opowiedział mu, co się stało, podczas przejścia po-ciągu pasażerskiego.  
 Jan mało nie padł na ziemię, usłyszawszy tę wieść. Co to będzie? Co to będzie?  
 Najjutrz, wczesnym rankiem, do mieszkania dozorcę przybyli: pomocnik inspektora, naczelnik dy-ktansu, sędzia śledczy i jeszcze kilku panów. Roz-poczęło się dochodzenie i badanie.  
 Rzecz przedstawiała się tak jak sądził Antoni. Na wieść o wypadku, zgłosiło się kilku świadków, którzy widzieli zamkniętą barjerę na parę minut przed przyjściem pociągu i Michasia stojącego na stanowi-sku. Winien więc był żyd, a nie Michaś. Antos go-rąco bronił sprawy Jana. Żyd wyrzekał na to, że postawili małego chłopca przy barjerze, który puścił go z wozem i narobił mu tyle strat... tyle strat!... Polikwidował sobie bajeczne sumy, które mu kolej ma wypłacić:  
 — Moje klacze,—mówił — moje kochane klacze, była nie ladajakie klacze, to była hrabiowskie dzecko... od hrabi Bryś kupiałem ją za ciężkie pieniądze; dwie-ście rubli jak jeden grosz położyłem mu na stół za tę klacze... A ona była jeszcze z nadzieją, to pró-sze mi porachować za nią—200 rubli i za jej dziecia-  
 Szcześliwi  
 7

Ze jednak—szukających pracy nigdy nie zbra-  
 knie, a więc i na liście miejsc dróżnika zgło-  
 sili się kilkunastu претенdentów; jeden z nich—szczę-  
 śliwcy—otrzymał je i wniósł się ze swoją rodziną  
 do izdebki zajmowanej dotąd przez Jana.  
 Fakt ten mówił sam za siebie. Jan, wyzeczku-  
 jący trwożliwie z dnia na dzień na decyzyję o swym  
 losie, ujrzawszy sprawozdającego się kolegę, zroz-  
 miał wszystko i o nic już nie pytał. Odtąd zaczęło  
 się dla nich dziwne życie—z dnia na dzień, bez jutra.  
 Nowi przybysze, a właściwie gospodarze izdebki  
 okazali się dziwnie ludzkimi; nie pytając o nic, zro-  
 zumieli i odczuli położenie Janów i nie myśleli ich  
 wypędzać z domu.  
 Janowie za to, jak pies w oczu swego pana,  
 patrzyli w oczu Walentowstwa, starając się odgadnąć  
 myśli, usiłując im, być na ich rozkazy.  
 Janowa wyręczała w domowych zajęciach Wa-  
 lentow; niedawno podniosła się z łóżka, uwiłata  
 się po izbie dzień cały, sprzątała, gotowała, szyła,  
 prała... Jan spełniał za Walentego wszystkie funk-  
 cje dróżnika, robił jak dawniej, a nawet więcej niż  
 dawniej. Walentowstwa zaczęło się to nawet podo-  
 bać, byli coś niby jak państwo, posiadający służbę i  
 dwór cały. Jedną niedogodność: w izbie gnieździło  
 się kilkanaście osób na kupie,—ale i na to znalazł się  
 sposób: dzieci spały w stodole, na sianie, a tylko w  
 dni słone siedzieli w domu. Dozorca nietylko pa-  
 rzył przez szparę na to, ale jeszcze ile mógł do-  
 pomagał Janom: korezyk kartofli, ciwarka maki, nawet  
 butelka wina dla chorej, ukradkiem, żeby nikt nie

ka—choć 20 rubli... Bryczka była fajna angielska,  
 a chomonty—jak u krakowiaków... A na bryczce by-  
 ły jabki... Ajwaj! moje jabki! moje jabki! Było ich  
 korców 10, jeżeli nie więcej, a teraz jabki drogie są,  
 rarytne są—to proszę mi narachować po 5 rubli za  
 korzec... To razem 200 i 20... bryczka — 200, cho-  
 monty 60—jabki 50... to do kupy zrachować będzie  
 530 rubli... a co do moje fatyge, mitręgę czasu i ten  
 strach, co ja go się przez całą noc najadał — to już  
 jak Jasnie Wielmożna, Oświecona kolej, uważać be-  
 dzie... A jeżeli ja na to długo czekać mam, to i pro-  
 cent proszę też mi porachować.

Spisawszy protokół, rozjechali się urzędnicy.  
 Koń tymczasem zdechł, stroskany właściciel zabrał  
 jego skórę. Jabłka co do jednego wybierały dzieci z  
 miasteczka, skrzętnie lustrujące nietylko zalane wodą  
 rowy, ale i każdą bruzdę, każdego zagon w polu.  
 Skutkiem tych poszukiwań i odkryć w miasteczku  
 między dziećmi, zaczęły się pojawiać sporadyczne ob-  
 jawy choleryny, na szczęście niegroźnej wcale w  
 skutkach.

W kilka dni potem nadeszła decyzja władzy  
 w sprawie katastrofy przy przejeździe.

Dróżnik zostaje usunięty ze swego miejsca i  
 wydalony ze służby kolejowej. Dozorca otrzymuje  
 surowe napomnienie. Żyd, za odsunięcie samowład-  
 ne barjery, co mogło spowodować najfatalniejsze  
 skutki, ma zapłacić karę pieniężną w ilości rubli sre-  
 brem sto.

Antoni nie miał serca zawiadomić Jana o decy-  
 zji władzy; pozostawił to czasowi.

widmo ludzkiej postaci.  
 Janowej oczy wyszły na wierzch, ręce się  
 trzęsły, drżała spazmatycznie... nie wierzyła jeszcze  
 trzem bezkształtnym.—Przyświecające latarnia, czol-  
 trzeżywiłostki i chciała sprawdzić, kto był tym

złota krwawa, obydna, bezkształtna masa... straszliwe  
 nią, na korytowym torze wtoczona między szyny, le-  
 podbiegła naprzód i padła jak długi na ziemię... Przed  
 w tył jak pijany. Janowa poobwyciała latarnię w ręce  
 krzyknął—latarnia wypadła mu z ręki, zatonął się  
 nami w głąb z dziesięć minut. Naraz—idący na czele  
 rozmiękłej glinie gromadka, weszła w las... szli szy-  
 kła się Janowa. Po półgodzinnej mozolnej drodze po-  
 cznie na całym cieple, sama nie wiedząc po co, powło-  
 drągami na miejsce wypadku... Za nimi, drząc febr-  
 lub też zasadzka—wysłał robotników z latarniami i  
 Naczelnik—celem zbadania, czy to był wypadek  
 uczuć żadne wstrząśnienie.

Właśnie pociąg nadszedł na stacyję. Maszynista  
 czełnikowi, że w lesie postój ciemności maszyna zmia-  
 zdyła jakąś zaporę... Co to było—niewiadomo... pociąg  
 był w całym pedzie, zgnioła zaporę maszyzna tak  
 blyskawicznie, że reszcie pociągu nie dalo się nawet  
 czełnikowi, że w lesie postój ciemności maszyna zmia-  
 prowadzący go, opowiadał ober-konduktorowi i na-  
 Właśnie pociąg nadszedł na stacyję. Maszynista  
 czełnikowi, że w lesie postój ciemności maszyna zmia-  
 zdyła jakąś zaporę... Co to było—niewiadomo... pociąg  
 był w całym pedzie, zgnioła zaporę maszyzna tak  
 blyskawicznie, że reszcie pociągu nie dalo się nawet

część dowiedzieć się, czy nie widział go tam kto.  
 zaczęła uczuwać jakąś niespokojność. Pobiegła na sta-  
 Janowa nie mogła się doczekać powrotu męża,  
 Tym pociągiem powrócił do domu Antoni.

gwiżdawszy wesoło.  
 masę bezkształtną i przelociał, przy końcu lasu za-  
 gwał pod siebie, zmiał go jak gąbkę, zmiażdżył na

gała się na kłęczkach, upatrując czegoś... Nagle—  
 znalazła to, czego szukała, a raczej czego obawiała się  
 znaleźć: wśród strzępów porwanej odzieży błyszczał  
 mały krzyżyk z cyframi i datą, wyskrobanymi scyzo-  
 rykiem. Data ich ślubu. Kobieta wydała jęk dziki, stra-  
 szny, tak straszny, że przedarł się po przez szum  
 wichru, po przez pluskanie deszczu, po przez syk lo-  
 kowotywy, gwiżdżącej gdzieś, koło mieszkania nowego  
 dróżnika... Pojęku... długa cisza, a potem—śmiech jeszcze  
 dziksz, jeszcze straszliwszy od jęku... śmiech istoty,  
 tracącej zmysły, śmiech zwierzęcy... chichot raczej sza-  
 tański... Śmiech ten został już przy niej nazawsze.

Po przez śmiech, niby dławiąc się wyrazami, beł-  
 kotała nad bezkształtną człowieczą masą: „Szczęśliwy!  
 szczęśliwy! szczęśliwy!”

\* \* \*  
 W parę dni potem odbył się pogrzeb Jana.  
 Ciało jego nieśli dróżnicy, za trumną postępowali  
 urzędnicy kolejowi, a w ich gronie mocno poważny  
 p. Naczelnik. Antos ułokował troje dzieci Janów u  
 pewnej ubogiej kobiety, płacąc jej za nie umówioną  
 sumką. Najstarszą dziewczynkę, pani Krzycka wzięła  
 do posług do siebie. Tylko dwojga najmłodszych, przy-  
 piersi, Janowa nie chciała oddać nikomu. Nosiła je  
 zawsze z sobą: mizerne, chude, siwe i drzące z zim-  
 na... Janową znali wszyscy jako waryjatkę; jedni szy-  
 dzili z niej, rzucając w nią błotem i kamieniami, inni  
 uciekali od niej jak od zapowietrzonej. A przecież nie  
 robiła nikomu nic złego: tylko całymi dniami kręciła  
 się koło budki dróżnika, albo przebiegała plant kolei,  
 to wzdłuż, to w poprzek, to pędząc za pociągiem, to